

J. POWALSKI.

-- SZTANDARY -- KSIĘCIA JÓZEFA.

Wszelkie prawa autorskie zastrzeżone.

14

I rozdierającym nawrotem stawało przed nim pytanie, czy i wobec Ignacego los go w ten sposób zwolni?

W towarzystwie tych myśli chodził jak błędny tam i nazad po skrzypiącej podłodze swych stancji. Wspominał wesołość dawną swych synów, swych dzieci. I przeszedłszy jak paciorki różańca te momenty, kończył na szczegółach, które mu opowiedział towarzysz i przyjaciel Tadeusza, który go pochował. Myślał o napisie, który Tadeusz przed śmiercią, długo z nią walcząc, w szpitalu ułożył na swój grób i który wyryli mu na płycie kamiennej towarzysze broni:

Jeśli zabłądzą tu stopy czwje
Z nad Wisty, Warty, lub Niemna zdroju,
Niechaj mi powie, że Polska żyje,
Wtedy dopiero umrę w pokoju.

Jak zorza za światami wstawała przed jego wzrokiem jedność tego rozpedu, który niósł polskich synów na całą Europę i siał ich groby po wszystkich krajach. Oczy jego i myśl widziały niezłomność, bohaterstwo, poprzysiężoną wierność tych dusz. Ale stare serce odmawiało zanurzenia się w ich atmosferze i sprobowania ich młodego zapachu choćby przez odczucie.

— Mrzyjcie, — myślał, — mnie już nic nie okapie z pamięci o was i z żalu za wami. Strupiało mi już serce, widząc, co się dzieje i nie rozumem waszych uniesień. Nie ten czas...

Miał gorzki tryumf i zadośćuczynienie, uświadamiając sobie klęskę:

— To jest liczyć na wojny.

Jednakże, gdy dotykał klęski myślał, chwytając go tak strachliwa boleść, taki niemiłosierny żal, że zapomniał o wszystkim innym. W oczekiwaniu na Ignacego wmyślał się też w jego usposobienie przy powrocie z rozbicia i układał sobie, że będzie do niego już tak mówić, już tak obchodzić wszystko, co by go mogło upokorzyć albo zranić, że on nic a nic nie poczuje, i odcierpi swoje przejścia w spokoju.

Chodził i chodził w koło, jakby go coś pędziło, w gwarze i torturze wspomnień, wyrzutów i nagłych przezeń tego, co minęło. Późno w noc kładł się spać i rano wstawał do tego samego oczekiwania.

Nadchodziły święta Bożego Narodzenia i miasto stawało się coraz rojniejsze. Coraz gęściej ukazywali się na ulicy wróceni z wojny żołnierze, nędzarze świeżo przybyli i dawniejsi, już odżywieni.

Pan Kleszewski siedział w małej kawiarni niedaleko Zjazdu, gdy chłopiec usługujący krzyknął, że idzie wojsko. Porwał się, kto żył i wszyscy rzucili się do drzwi. Środkiem ulicy, w otoczeniu biegnących wyrostków i dzieci, maszerowała rażno w szerebach porządných jakaś piechota. Łachmany wisiały z nich i powiewały przy chodzie, odkrywając gołe ciała. Przodem szli orłowi, i niósł się rozwinięty sztandar, wyszarzały i trochę naddarty.

— Rany Chrystusa! bos! — zawołała jakaś kobieta.

Kto szedł, stanął i patrzył w milczeniu.

Pan Kleszewski wziął swoją futrzaną czapkę i w milczeniu jak automat wyszedł na ulicę.

— I to ma być wojsko? — rzekł przy nim rzemieślnik w skórzanym fartuchu. — Pożal się Boże! Próchno! Tfu!

— Głupiś pan, — odpowiedział mu sąsiad, — tacy najlepsi, co wszystko przetrzymali.

— Niechbyś waćpan popróbowwał śniegiem się żywić, nie spać, po mrozie bez butów wędrować, a wnetby ci rura zmiękała, — grubo mu odciął jeszcze jakiś oberwaniec, żołnierz także. — A gada! W pie-rzynie przeleżał...

Pan Kleszewski patrzył, patrzył, aż mu ciemniało

w oczach. Tej piechoty było ze dwiestu. Gdy przeszli, jechały sanie. I nagle wśród kilku ciasno skupionych twarzy poznał Ignacego. Rzucił się ku saniom: — Ignas! Ignas!

Był to naprawdę on. Sanie zjechały na bok, by nie zatrzymywać następujących, i stanęły. W kilka sekund czy minut, chwil bezprzytomnych prawie, dowiedział się ojciec, że syn był raniony niedawno pod Wilnem, że nie wielkiego, że to są jego towarzysze, którzy z nim razem gościć powinni w domu ojca. Ruszonó też tam natychmiast, stary pan, przysiadłszy na saniach, wskazywał drogę.

Gdy dojechali i wypakowali się z dziwacznych okryć, gdy rozłożyli się w mieszkaniu, zaczęła się rozmowa porządniejsza. Ignacy był już zdrow prawie, gdyż rana zabiżniła się znacznie. Ale był inny, niż wyszedł.

Wydał się ojcu obojętny, zbywający, zajęty czemś obcym. Ojciec zwałł powód tego na klęskę i na obecność towarzyszy. Byli to ludzie prości: dwóch rannych kanonierów, jeden orłowy z wybitego pułku, jeden tylko ciężko ranny oficer.



Rzucił się ku saniom: — Ignas! Ignas!

Ten leżał, jęcząc. Posłano po felczera dla opatrunku.

Kanonierzy i orłowy myli się, czyścili i przebierali z całą swobodą. Wziawszy Ignacego do drugiej stancji, podczas gdy ten się mył i przebierał, stary pan zasiadł przy nim i usiłował pytać.

Ignacy odpowiadał krótko, jakby mu brakło słów. — Nareszcie jesteś! — mówił ojciec, przechodząc na razie ponad historią kampanii do chwili bieżącej. — Czekalem cię już mocniej, niż kania dżdzu. Bałem się, że coś... takie okropne rzeczy opowiadają ci, co przyszli...

— Kto opowiada? — zachnął się Ignacy.

— Oficerowie, żołnierze, wszyscy...

— To, proszę tatusia, niedokładnie mówią, — powiedział Ignacy. — Bywało trudno i rozmaicie, i było ciężko czasami, ale od tego jest żołnierz. To muszą być jakieś ciury...

Ojciec pamiętał o swych postanowieniach niedotknięcia syna. Jednakże nie spodziewał się takiej buty. Uraziła go przykro. Prawda jest prawdą i zamknięcie na nią oczu nic nie pomoże.

— Nie takie znów ciury, — rzekł z niezadowoleniem. — Jeśli wyszło przeszło pół miliona wojska, a wróciło tyle, co nic...

— Nie wszystko wraca na Warszawę.

— To już coś musi w tem być, — dokończył ojciec. — Polskiego wojska wyszło do stu tysięcy, w samym korpusie księcia Józefa trzydzieści sześć. Tak?

— Tak.

— A teraz co?

— Nic, — odpowiedział Ignacy twardo.

— Ale, twojem zdaniem, klęski niema.

— Nie powiedziałem tego.

— Milcz! — krzyknął ojciec rozgniewany.

Począł chodzić po pokoju, z uniesieniem. Ten ruch wracał mu z wolna spokój. I zaczął zawzięcie i uparcie myśleć i myśleć: dlaczego on tak się uniosł?

Chodził w swe ślady po skrzypiącej podłodze, jak tyle wieczorów i nocy, gdy czekał. A teraz — przecież on wrócił, a to było główne!

— Czemuż więc się uniosłem?

Sprawną myślą odszukał zwykłe męki. Wnet dostrzegł, że pozostała teraz, po usunięciu krwawego niepokoju o syna, niczem nie starta, straszna mara losu ojczyzny. Wmyślił się w położenie nagle i tak silnie, że zesłała mu z myśli nawet obecność Ignacego. Po chwili dopiero powrócił do toku zdarzeń domowych. Chwyciły go wyrzuty, że krzyknął, i odezwała się zwykła czułość.

— Ignas — rzekł miękko. — Tak okropny czas przechodzimy, że trudno wytrzymać.

— Jeszcze nic nie stracone — odparł, zwracając na ojca oczy Ignacy, który wsparty o okno wyglądał bokiem na ulicę, w zamyśleniu.

Ojciec machnął ręką, nie przestając chodzić.

— Wiesz, — zaczął, — że wojska rosyjskie idą.

— Wiem, bo ślad tego nawet noszę na skórze.

— Cóż będzie?

— Będziemy się bić.

— Czemu?

— Wojskiem, zreorganizuje się.

Ojciec zaśmiał się krótko.

— Aha, tak! Rozpisano pospolite ruszenie w lecie, a teraz dwadzieścia pięć tysięcy rekruta. Pewnie chłopcyki ze szkoły na wojnę pójda? Bo już starsi bracia polegli: ci w Hiszpanii, jak Tadeusz, ci w Egipcie, ci w Niemczech, ci w Rosyi...

Zaczął znów chodzić w koło. Nagle stanął przed synem, i zaczął mówić z przyciskiem:

— Czy ty nie rozumiesz w końcu, że ta nędza, co się na nas wali, ci nieszczęśnicy nawpół żywi z głodu i z trudów, to już koniec naszych wojsk i naszego wojowania? Od tygodnia wracają pułki, i co jeden to nieszczęśliwszy. Z trzech tysięcy ludzi wraca pięćdziesięciu! I jakich! W jakim stanie! A z ilu pułków nie wrócił ani jeden? I cóż?

— Bili się i trzymali do końca, — zaczął Ignacy.

— Ja się was nie pytam, coście z nimi zrobili! — zawołał pan Kleszewski. — Nie pytam gdzie są! Ale mówię, że ich niema, niema, rozumiesz? Niema, niema...

Ignacy pobladł z wolna aż do ust, które straciły barwę. Patrzył stwardniałym spojrzeniem, oczyma poszarzałymi.

— Szliśmy z nimi aż do końca, — rzekł. — Inne korpusy, francuskie i niemieckie, rozsypały się, a nasz dotrwał do końca. Inni rzucili swoje armaty, sztandary, broń, wszystko, a my doprowadziliśmy wszystkie działa i sztandary, broń tylko wielu straciło.

Nie starał się podnieść w całości tego co mogło się zawierać w słowach ojca, bo bał się, że będzie musiał pójść za daleko.

Ojciec znów chodził.

— Idą i mrą z głodu, — mówił jak do siebie. — Mróz, że ziemia pęka, a ci boso. Wiatr, śnieg, a ci gołym ciałem świecą.

W tej chwili wszedł orłowy, salutował, wskazując tem, że przyoblekł już charakter wojenny, i rzekł:

— Melduję panu kapitanowi, że przyszed towarzys od kapitana Płoncyńskiego, abym sed z orłem swoim do nich.

Dokończenie nastąpi.